

## DWA WSPOMNIENIA ARCHITEKTA ADAMA KLIMKA

**A**rchitekt Adam Klimek (1910-1987) z Zamościem związany był przez kilkanaście lat. Mimo tego stosunkowo krótkiego czasu stał się dla dwudziestowiecznego Zamościa postacią zasłużoną, a wśród architektów, obok Tadeusza Zaręby, najwybitniejszą.

Urodził we Lwowie<sup>1</sup>, absolwent wydziału architektury tamtejszej Politechniki (1938). W 1937 kierował budową osiedli na Pomorzu. Do Zamościa przybył 3 miesiące przed wojną, początkowo mieszkając przy ul. Orlicz-Dreszera. W latach 1939-51 był architektem powiatowym, później m.in. kierował odcinkiem Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego (na 3 powiaty), pracował w spółdzielni „Beton”, uczył też w PLSP. Zaprojektował gmach PMRN, budynek szpitalnego oddziału zakaźnego (1940), oprawę cmentarza na Rotundzie oraz pomnik pamięci Żydów przy ul. Prostej (1950) i pomnik ofiar wojny (kościół św. Katarzyny, 1946). Projektował też kościoły w Bondyrzu i Lipsku, oraz kaplicę w Kornelówce i ołtarz gł. do kościoła zamojskich redemptorystów (przeniesiony do Wirkowic), rozbudowę kościoła w Terespolu. Wznosił również m.in. zamojski elewator zbożowy. Był autorem broszury *Budownictwo w powiecie zamojskim podczas okupacji...* (Zamość 1945)<sup>2</sup> i małego przewodnika po Zamościu (1950), popularyzatorem zamojskich zabytków (artykuły i odczyty), współautorem modelu miasta. Odkrył słynny „bukowiński obraz” z nieznanym widokiem miasta. Był pomysłodawcą opartych na pilśni tanich 4-pokojowych domów (25 tys. zł) - realizowanych potem w Kielcach. Był członkiem zarządu (6-osobowy) lubelskiego oddziału SARP, do 1950 r. czł. zarządu miejscowego Tow. Miłosierdzia „Caritas”, później działaczem ZK „Caritas”, prezesem Rady Przyjaciół Harcerstwa.

W 1956 r. zamieszkał w Kielcach, gdzie był Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, wykładał też na Politechnice Świętokrzyskiej (do 1976), obronił tam pracę doktorską (rozprawa o pałacu Zamojskich, w której zrekonstruował jego pierwotną sylwetę, 1965), pracował też w PKZ. Malarz-amator, jego prace posiada m.in. niżej podpisany, fotograf-dokumentalista (kilkaset negatywów znajduje się w zamojskim muzeum, wystawa 1987).

Tu poznajemy go jeszcze jako osobę sprawnie posługującą się piórem. W dwóch odnalezionych w Archiwum tekstach<sup>3</sup> wyczuwa się reporterski temperament.

---

<sup>1</sup> A. Kędziora, *Encyklopedia Ludzi Zamościa*, Zamość 2007, s. 134-135.

<sup>2</sup> W okresie okupacji Adam Klimek współpracował z wywiadem AK. Za pośrednictwem swojego pracownika i członka organizacji Tadeusza Fenca dostarczył „Rafałowi” (Jan Grygiel) plan miasta Zamościa. Kiedy Tadeusz Fenc został aresztowany Adam Klimek swoimi staraniami doprowadził do jego zwolnienia z gestapo. Jan Grygiel, *Związek Walki Zbrojnej Armia Krajowa w Obwodzie Zamojskim 1939-1944*, Warszawa 1985, s. 91, 108.

<sup>3</sup> Archiwum Państwowe w Zamościu, zespół Zamojskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Zamościu, sygn. 58.

Nie wiadomo, czy zachowały się jeszcze inne jego wspomnienia. Być może mamy tutaj dwa fragmenty z obszerniejszych wojennych zapisków Adama Klimka. To tylko przypuszczenia. Przytoczone teksty są wystarczająco interesujące by jego biografię uzupełnić i o te, literackie umiejętności.

Opis wydarzeń ma spory walor dokumentacyjny. Pamiętać należy jednak, iż nie były zapisane na żywo, lecz dzielił je pewien dystans od czasu gdy przeniesione zostały na papier. Wiąże się to z zaznaczonymi w przypisach drobnymi nieścisłościami w opisywanych faktach. Cenniejszym - wydaje się - przekazem jest oddanie nastrojów tamtych dni. W pierwszym przypadku jest to niepewność czy nawet bezradność wobec toczących się wydarzeń, w drugim silna, wobec przypadkowości zdarzeń, których był świadkiem, wola przetrwania ostatnich godzin wojny.

Krzysztof Radziejewski

## TRZY DNI PRZED OKUPACJĄ

**D**ecyduję się z miejsca. Nerwy nie wytrzymują już bombardowań. Przylatują nad Zamość już od czterech dni. Codziennie o tej samej porze, o 11-tej przed południem.

Pierwszy nalot na Plac Autobusowy<sup>4</sup> przesiedziałem w krzakach obok biura. Wydawało się to niegroźne do czasu, gdy poszedłem na obiad do Klubu Obywatelskiego i zobaczyłem ułożone na stołach trupy. Następnego dnia nalot spędziłem w lokalu Przysposobienia Wojskowego przy spirytusie zagryzanym słoniną. Ten nalot był na dom Kowerskich<sup>5</sup>. Wnętrznosci ludzkie były rozwieszane przez podmuch na drutach telefonicznych. Zabici to uciekinierzy z Poznańskiego.

Następny spędziłem dziewięć metrów pod ziemią w winiarni Fersztendika<sup>6</sup>. Wtedy bombardowano koszary<sup>7</sup>.

---

<sup>4</sup> Chodzi prawdopodobnie o pierwszy nalot w niedzielę 3 września, kiedy Zamość bombardowało 9 samolotów wroga. Bomby spadły m.in. na stację kolejową, a rynkowi Starego Miasta dostało się parę serii z karabinów maszynowych. Ostrzelani zostali również spacerowicze zamojskiego parku. M. Sochański, *Pamiętnik starosty powiatu zamojskiego* (w:) *Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939-1944* pod red. Zygmunta Klukowskiego, Zamość 1946, t. II, s. 13, B. Waluda, *Samoobrona Zamojszczyzny przed eskalacją 1939-1944*, Warszawa 2010, s. 54.

<sup>5</sup> Wielkie bombardowanie dzielnicy Nowe Miasto w dniu 9 września. Bomby spadły m.in. na posesję Kowerskich przy ul. Żdanowskiej, która po bombardowaniu wyglądała jak kartoflisko. Zginęło ponad 100 osób. Trzy dni wcześniej dworek państwa Kowerskich miał być miejscem postoju Prezydenta Ignacego Mościckiego, który jednak nocował w Krasnobrodzie u swojego przyjaciela, senatora Kazimierza Fudakowskiego. M. Sochański, *op.cit.*, s. 15-16, B. Waluda, *op.cit.*, s. 56, Z. Wiktorowicz, *Podtopole. Wspomnienia z okresu od listopada 1918 roku do lipca 1944 roku*, Zamość 1969, s. 55 (niepublikowane).

<sup>6</sup> Dawid Szloma Fersztendik – „zamojski Fukier”, właściciel stylowej winiarni przy ul. Staszica 33, słynącej ze znakomitych win, które osobiście nalewał gościom. Do wina stawiał zawsze spodeczek z migdałami. Z. Klukowski, *Zamojszczyzna 1918-1943*, Warszawa 2007, t. I, s. 25.

Dzisiejsze siedzenie w piwnicy Sądu, wyraźne unoszenie się budynku w górę i opadanie, przy równoczesnym zgaśnięciu światła, spazmowaniu kobiet, wyprowadziły mnie z równowagi. Bomba, według znawców, największa z dotychczas zrzuconych na Zamość, padła tuż przed Sądem. Była przeznaczona dla nas, znajdujących się w tej piwnicy.

Pali się stacja kolejowa. Pociąg z amunicją daje o sobie znać wybuchami co kilka minut.

Dymy nad miastem potwierdzają wiadomość o paleniu się dzielnicy Nowa Osada.

Jeszcze na dobitkę referent LOPP<sup>8</sup> ze Starostwa, Rojewski, powiada, że naumyślnie zapalili miasto na dwu końcach, aby w nocy dokonać reszty bombardowaniem „szachownicowym”, wzdłuż i wszerz, na rano zostanie z Zamościa kupa gruzów.

Propozycja sekretarza Wydziału Powiatowego B.<sup>9</sup> przychodzi w samą porę. Mamy wyjechać furmanką do Krasnobrodu. Tam kończy się szosa i „Niemcy nigdy tam nie dojdą”. Zbiórka przed domem Sekretarza przy ul. Sienkiewicza o dwudziestą, tuż przed zmrokiem.

Urzednicy Starostwa wyjeżdżają autobusem na Hrubieszów<sup>10</sup>.

Mam trzymiesięczną pensję<sup>11</sup>. Kupuję dwa pudełka po 100 sztuk „junaków”, trochę drobiazgów. Wpadam do domu, aby zabrać do teczki ręcznik, mydło, zapasową koszulę, płaszcz i powiedzieć moim gospodarzom, że wyjeżdżam. Chodzę jeszcze po mieście. Pali się Nowa Osada i ten pociąg z amunicją na stacji.

Szkoda mi Zamościa. Przez te trzy miesiące na mojej pierwszej posadzie, Architekta Powiatowego, przyzwyczaiłem się do tego pięknego miasteczka. Poznałem wielu miłych ludzi.

Już godzinę wcześniej jestem przy ul. Sienkiewicza przed domem, w którym mieszka Sekretarz. Dowiaduję się, że ma z nami jechać kierownik drukarni „sejmikowej” p. M.<sup>12</sup>

---

<sup>7</sup> Potężny nalot w dniu 12 września w związku z przybyciem do Zamościa dobie wcześniej dowództwa armii „Kraków” gen. Antoniego Szyllinga organizującego ewakuację na kierunku Sandomierz – Biłgoraj – Zamość – Tomaszów Lub. Znowu ponad 100 zabitych. Ten stan dowodził również, że na tyłach działała siatka szpiegowska wroga nadająca na bieżąco informacje dla lotnictwa niemieckiego. M. Sochański, *op.cit.*, s. 17, L. Głowacki, *Działania wojenne na Lubelszczyźnie roku 1939*, Lublin 1976 s. 12, 62, 66, 75.

<sup>8</sup> Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

<sup>9</sup> Tadeusz Burzmiński (1899-1941) długoletni sekretarz Wydziału Powiatowego w Zamościu, wg Z. Klukowskiego *jeden z popularniejszych ludzi w powiecie*, zm. w Oświęcimiu. A. Kędziora, *Encyklopedia Ludzi... op. cit.*, s. 41.

<sup>10</sup> Adam Klimek opisuje sytuację z dnia 13 września, z godz. 16.45 kiedy miasto opuścił starosta Marian Sochański podróżujący samochodem służbowym, a jego urzednicy dużym autobusem. Droga na Hrubieszów była już odcięta. Podróżowano więc przez Skierbieszów w kierunku Dubienki, gdzie następnego dnia przeprowadzono się promem na drugą stronę Bugu. Po miesiącu tułaczki starosta oraz większość urzedników powróciła do Zamościa. M. Sochański, *op.cit.*, t. III, s. 9, 13.

<sup>11</sup> Również zamojscy nauczyciele otrzymali trzymiesięczne zaliczki na uposażenie (brutto) z dodatkami. M. Bojarczuk, *Academia Zamoscensis*, Lublin 1959, s. 143.

<sup>12</sup> Zenon Michalski (1892-1954), drukarz, zecer, kierownik drukarni w l. 1932-1946, A. Kędziora, *Encyklopedia Ludzi... op. cit.*, s. 196.

Konie już czekają. Furmanka drabiniasta ze Szkoły Rolniczej w Janowicach. Dwie wiązki słomy jako siedzenia. Przyzwyczaiłem się do takiego jeżdżenia przez trzy miesiące urzędowania. Gramolimy się na wóz, jeszcze walizka p. Sekretarza i wyjeżdżamy w kierunku na Żdanów.

Oglądam się za siebie. Stąd jest chyba najładniejszy widok na Zamość. Pożary na dwu końcach, co pewien czas wybuchy amunicji na dworcu. Jedziemy przez Żdanów na Lipsko. Mrok szybko zapada. Za Lipskiem przejeżdżamy obok lasu. Jest już zupełnie ciemno. Zdaje mi się, że w lesie zapalają się jakieś światełka. Jestem bardzo zdenerwowany. Noc jest zupełnie ciemna. Siedzę z p. M. na tylnym siedzeniu. Na przodzie Sekretarz z woźnicą.

Rozglądam się na wszystkie strony. Konie głośno uderzają o klinkier szosy, wóz dzwoni, jednak zdaje się, że prócz tych odgłosów są jeszcze jakieś inne. Te światełka w lesie powtarzają się.

W pewnym momencie stwierdzam, że na wozie jest piąta osoba. W tyle wozu wskoczył ktoś jeszcze. Po sylwecie, na tle jaśniejszego od lasu nieba, poznaję, że jest to żołnierz z karabinem. Mówię do p. M., aby nie zwracał uwagi. Przejeżdżamy przez zupełnie ciemne i jak gdyby wymarłe wsie – Adamów i Szewnię.

Postać z tyłu wozu tak nagle, jak pojawiła się, znikła.

Jest już późno, ale nie wiem, która godzina. Wjeżdżamy w młody las. Już niedaleko Krasnobród, jeszcze tylko Podzamcze. Nareszcie przejeżdżamy przez most na Wieprzu i wjeżdżamy na Rynek w Krasnobrodzie. Jedziemy dalej w stronę Podkasztoru. Dopiero teraz dowiaduję się, że jedziemy do domu wójta Kotowskiego<sup>13</sup>, za Podkasztozem. Szosa kończy się, zjeżdżamy na polną drogę. Jest tak ciemno, że niczego nie widać. Wjeżdżamy w jakieś wertepy. Nigdy tu nie byłem mimo, że Krasnobród dobrze znam. W końcu stajemy, jesteśmy na miejscu. Złazimy z wozu, ale nawet na krok niczego od nas nie widać.

W budynku zapala się światło. Po powitaniach z wójtem ustalono, że ja z p. M. mamy spać w stodole. Zaprowadzono nas tam, wdrapujemy się na słomę i zasypiamy.

Budzę się późno, jest już po 8-ej. Wygrzebuję się ze słomy. Pierwszy raz w życiu spałem na słomie w stodole i stwierdzam, że jest to wcale przyjemne, czuję się wypoczęty.

Pogoda słoneczna, ani jednej chmurki. Jest tu bardzo ładnie. Teren z wąwozami, za domem lasek wznoszący się w górę. W dali lasy krasnobrodzkie. Daleko stąd nie widać, bo to Roztocze.

Okazuje się, że w domu wójta jest całe towarzystwo z Zamościa. Prócz żony i córki Sekretarza są jego matka i siostra, żona lekarza powiatowego z córką i jej siostra z córką, dyrektor kina „Stylowy” Biernawski<sup>14</sup> z żoną, córką i synem.

Śniadanie naprawdę wiejskie, mleko i chleb własnego wypieku.

Gdyby nie okoliczności naszego tu pobytu, wcale przyjemna wycieczka. Sekretarz obejmuje komendę nad całością. Poleca wójtowi przejść do Urzędu

---

<sup>13</sup> W czasie okupacji pozostał na stanowisku. Aktywny *volksdeutsch*. Postrzelił w nogę Jana Drogosza z Podzamku. Zabity przez partyzantów AK w październiku 1943 r., J. Grygiel, *op.cit.*, s. 130, 133, 412.

<sup>14</sup> Władysław Biernawski – aresztowany w 1941 r., zmarł w obozie oświęcimskim. M. Sochański, *op.cit.*, s. 16, A. Kędziora, *Encyklopedia Ludzi... op. cit.*, s. 26.

Gminnego i starać się połączyć telefonicznie z Zamościem. Do Gminy trzy kilometry. Wychodzimy na łączkę koło zagrody. Okazuje się, że p. M. wziął przez pomyłkę walizkę żony, która pojechała z córką do Pniówka, ma więc damską bieliznę, a nie ma papierosów. Zabieramy się do moich „junaków”.

Wraca wójt. Nie można dostać połączenia z Zamościa. Chyba tak zrobili, jak mówił Rojewski. Czuję się niesamowicie. Sekretarz jest zdenerwowany.

W końcu poleca mnie i p. M. abyśmy poszli na posterunek policji i stamtąd starali się połączyć z Zamościem. Policja przecież musi mieć łączność. Idziemy zaraz, dwieście metrów od domu polną drogą, która jest przedłużeniem szosy kończącej się w Podklasztorze.

Idziemy szybko. Mijamy Podklasztor, jeszcze ze sto metrów i jesteśmy na miejscu. Przedstawiamy się, że jesteśmy z Wydziału Powiatowego i chcielibyśmy zadzwonić do Zamościa. Komendant posterunku połączył się z centralą krasnobrodzką, gdzie oznajmiono mu, że połączenia nie ma. Już mamy wychodzić z posterunku, gdy słyszę charakterystyczny szum motorów samolotowych zbliżających się. Huk coraz większy. Wychodzę na ganek posterunku i tym momencie przejeżdża szosą, na pełnym gazie, motocykl, za nim czołg, znowu motocykl i znowu czołg. Niemcy. Jadą pełną szybkością od strony Podklasztoru, więc od strony, gdzie nie ma szosy. Nie wiem, co robić? Wracam na posterunek i powiadam policjantom, aby ubrali się w cywilne ubrania.

Po drugiej stronie szosy, naprzeciw, jest budynek szkoły. Przy ogrodzeniu, od wewnątrz, stoi kilka osób, które rzucały kwiaty na przejeżdżające czołgi. To nauczyciele i nauczycielki.

Decyduję się. Musimy przejść z p. M. na drugą stronę szosy i za tyłami domów, poza klasztor, dostać się do zagrody wójta. Szosą nie możemy wracać mimo, że w tej chwili nikogo na niej nie ma.

Przebiegamy szosę z p. M. Zatrzymuję się przy ogrodzeniu szkoły i powiadam: „uciekajcie, to Niemcy”. Są na mnie oburzeni – „przecież to Anglicy, wczoraj wysiedli w Długim Kącie”. Znam kształt hełmu niemieckiego kolor munduru, naoglądałem się dosyć starych numerów „*Illustrierte Zeitung*” z pierwszej wojny światowej. Nie wdaje się w dyskusję. Biegniemy w stronę cmentarza.

Nagle nadlatują samoloty, zupełnie nisko. Dobiegamy do cmentarza i kładziemy się między groby. Detonacje bomb są niedalekie. Po kilku wybuchach widzimy wystrzeloną zieloną rakietę. Samoloty odlatują. Nastaje cisza. Biegniemy za tyłami domów w kierunku domu wójta. Gdy jesteśmy już niedaleko, wspinamy się po pochyłości wzgórzka na kartoflisku, na drodze, jakieś 50 m. od nas, zjawiają się znowu motocykle, czołgi, a później autobusy z wojskiem. Jadą polną drogą od tej samej strony co i uprzednie, to jest stamtąd, gdzie nie ma drogi bitej. Kartoflisko jest nachylone w stronę drogi, jesteśmy jak na dłoni. Robimy „*padnij!*” i dalej czołgamy się. Mamy jeszcze ze 20 m. do krawędzi pochylenia. Dostajemy się na górę, jeszcze biegiem ze sto metrów i już nas od strony drogi nie widać.

Dobiegamy nareszcie do zagrody wójta. Wszyscy są w lasku za domem, bo przelatywały samoloty. Nastrój jakby nigdy nic. Relacjonuję „*Niemcy w Krasnobrodzie*”. Sekretarz jest na mnie oburzony, że „*sieję panikę*”. Pyta p. M. czy widział Niemców? Ten twierdzi, że jacyś żołnierze przejeżdżali, ale czy to są Niemcy, to on nie wie. Proponuję, aby przeszli około 100 m, do krawędzi wzgórzka i zobaczyli drogę, a na niej przejeżdżających żołnierzy. Przechodzimy na krawędź, skąd widać przejeżdżające motocykle, czołgi i autobusy, ale droga

jest od nas o jakieś dwieście metrów i szczegółów nie widać. Wójt powiada, że zna język niemiecki i pójdzie dowiedzieć się.

Czekamy z niecierpliwością. Po godzinie wraca – jednak Niemcy. Na Rynku zatrzymali autobus, nikogo nie zaczepiali, tylko kilku Żydów potarmosili za brody i pojechali w stronę Zamościa. Co robić?

Jesteśmy na odludziu. Syn dyrektora Biernawskiego jest w mundurze PW, ściągają z niego ten mundur i palą w kuchni. Sekretarz poleca wszystkim zniszczyć dokumenty, które by mogły skompromitować nas wobec Niemców. Droga ciągle jadą autobusy, lekkie działa i co pewien czas czołgi.

Robi się ciemno. Autobusy są teraz oświetlone.

U nas ciągle panika. Każdy z nas ma z sobą te trzymiesięczne pensje. Chocemy je gdzie kto może. Ja zakopuję w ziemi, ale po pół godzinie wykopuję. Siadamy w miejscu, skąd widać drogę, wiedząc, że nie jesteśmy widoczni. Autobusy oświetlone jadą już prawie dwie godziny. Siedzimy przez dłuższy czas, a oni ciągle jadą.

W końcu wybieramy się spać. Mimo przeżyć tego dnia, zasypiam szybko. Rano budzę się wcześnie. Znowu słoneczna pogoda. Wójt już przed godziną wybrał się do miasteczka po wiadomości.

Na drodze cicho i spokojnie. Wraca wójt, Niemców ani śladu, jechali przez Krasnobród do drugiej w nocy. Nikogo nie zaczepiali. Pojechali w stronę Zamościa.

Co teraz robić?

Wóznica chce jechać do Zamościa, bo Pani dyrektorowa wypożyczyła wóz tylko na dwa dni, a tu już trzeci. Teraz nie będzie chyba już bombardowania Zamościa. Wójt twierdzi, że we wszystkich okolicznych lasach pełno jest naszych dezertów, a my jesteśmy na odludziu.

Wyjazd z Zamościa, to jazda w nieznane. Jeżeli jednak tu nie strzelali do ludzi, to i w Zamościu chyba zostawią w spokoju.

W końcu Sekretarz decyduje wyjazd. P. Biernawski stanowczo odmawia wyjazdu ze swoją rodziną. Ładujemy na wóz walizy, poduszki, pierzyny a na wierzch siadamy wszyscy. Jest nas jedenaście osób dorosłych, troje dzieci i pies.

Jedziemy do Podklasztoru, tam zatrzymujemy się na krótką modlitwę. Spotykamy ks. wikarego. Sekretarz prosi, aby nam poradził – jechać, czy nie jechać? Ten rozkłada ręce i wymawia się od radzenia.

Jednak jedziemy. Jest godzina piętnasta. Późno. Przed nocą nie dojedziemy do Zamościa. Po drodze nie spotykamy nikogo.

Gdy dojeżdżamy do Lipska, zapada już zmrok. Ujechaliśmy piętnaście kilometrów. Dojeżdżamy do skrzyżowania, naprzeciw polna droga do Zamościa, w lewo i w prawo rozciąga się wieś.

Jest już po zachodzie słońca, gdy zatrzymujemy się na skrzyżowaniu. Naprzeciw nas, od Zamościa, polną drogą jedzie pędem furmanka załadowana gratami. Zatrzymują się koło nas, jakiś człowiek zeskakuje z wozu i podbiega. Woła podniecony – „*Panie Sekretarzu, proszę nie jechać do Zamościa, miasto otoczone armatami skierowanymi do miasta*”<sup>15</sup>. Sekretarz jest przestraszony: „*skąd*

---

<sup>15</sup> Baterie armat stały przy ul. Radzieckiej „na łączce Szenauera”, a także na tyłach ulicy Św. Piątka. Prowadziły wielogodzinny ostrzał w kierunku Krasnobrodu, gdzie w okrażeniu walczyły polskie armie. Z. Wiktorowicz, *op.cit.*, s. 56.

mnie pan zna?". „Przecież w Zamościu wszyscy pana znają”. Wsiada na swój wóz i odjeżdżają w stronę Krasnobrodu.

Po krótkiej naradzie decydujemy nie jechać dalej, zanocujemy w Lipsku. Pada pomysł, aby podjechać do szkoły. Skręcamy w prawo. Droga typowo wiejska, wyboje, że nawet furmanką trudno przejechać, to dobrze, bo Niemcy tu nie dojadą motocyklami ani autobusami.

Część z nas schodzi z furmanki i idzie pieszo.

Spotykamy nauczycielkę, dobrą znajomą żony Sekretarza. Odprowadza nas do szkoły i opowiada po drodze, że w Zamościu następnego dnia po naszym wyjeździe było bombardowanie, ale specjalnie dużych szkód nie ma. Więc ten wyjazd był może niepotrzebny.

Ujechaliśmy chyba kilometr, jest szkoła. Typowa, mała wiejska szkoła, drewniana, parterowa z ganeczkiem. Robi się zupełnie ciemno.

Dzielimy się funkcjami, tak po harcersku. Ja mam starać się o słomę, kilka snopków, dla rozłożenia na podłodze w klasie, aby nie spać na gołych deskach. Dobrze otrzymać taki przydział, ale na dworze ciemno, że na krok nie widać. W chatach nie świecą, bo zaciemnienie.

Jakoś jednak dobrnąłem, trzymając się płotów i pytając głośno o słomę, do chaty, gdzie obiecują nie tylko sprzedać, ale i odnieść do szkoły pięć snopków.

Papierosy skończyły się, ale p. M. wytrzasnął skądś suche liście tytoniowe i kilka bibulek do kręcenia. Twierdzi, że to Wirginia. Kruszymy liście, ale nie umiemy kręcić papierosów. Jakoś w końcu udaje się skrócić grube, twarde i zniekształcone. Smakują jak suszona trawa.

Jesteśmy już najedzeni, popaliliśmy sobie, trzeba iść spać.

Rozścielamy cienko słomę na środku klasy po omacku. Jest ciemno i tylko okna są jaśniejsze od ogólnej ciemności.

Sekretarz z rodziną ma spać u kierownika w mieszkaniu. Mają tam dobrze, bo i łóżka i okna zasłonięte, można zaświecić.

Dowiadujemy się, że w sąsiedniej klasie śpią uchodźcy ze Śląska Zaolziańskiego. Swój samochód osobowy schowali do stodoły pod słomę. Jeszcze dzielenie się wrażeniami dnia i stopniowo następują cisza. Jednak zasnąć nie mogą, bo i twardo i przeżycia.

Odwracam się z boku na bok. Obok mnie p. M., także nie śpi.

Minęły chyba dwie godziny, gdy do klasy przychodzi Sekretarz. Chodzi od okna do okna i patrzy w stronę Zamościa. Trwa to chyba pół godziny. Wrócił do mieszkania kierownika. Może nareszcie będzie spokój. Nie mija dziesięć minut, gdy słychać nadjeżdżający motocykl. Jedzie na pełnym gazie. Zatrzymuje się przed szkołą. Niemcy.

Pies ujada w przedsionku szkoły. Motocykl po chwili odjeżdża dalej. Jednak przyjechał po tej wyboistej i to bez świateł.

Teraz zaczyna się jazda motocyklami jedną i drugą stroną. Przed szkołą nie zatrzymują się jednak. O spaniu nie ma mowy.

W pewnej chwili wchodzi żona Sekretarza, pyta „czy nie ma tu lekarza, mój mąż jest ciężko chory”. Przecież wie, że między nami nie ma lekarza. Co się stało? Powiadają jej, że w sąsiedniej klasie są Zaolziacy, może któryś z nich jest lekarzem. Przechodzi do następnej klasy – jest lekarz. Przechodzi z nim przez naszą klasę do mieszkania kierownika. Po kilkunastu minutach wychodzi lekarz. Pytamy, co się stało? Odnowienie przepukliny, przygotowują gorącą

kąpiel, konieczna jest natychmiastowa operacja. Już nie będziemy spali. Rozmawiamy szeptem. Po godzinie przychodzi żona Sekretarza i zwraca się do p. M. „*Pan musi pojechać z mężem do szpitala do Zamościa*”. Ten stanowczo odmawia. Nie wiem, skąd przychodzi mi „*ja pojedę*”.

Już zaczyna świtać. Przez mieszkanie kierownika wychodzę na podwórze. Zaprzęgamy konie do naszej furmanki, kładziemy słomę, na to kołdry, poduszki, a na wierzch chorego. Jeszcze muszę dowiedzieć się, co mam mówić, gdyby Niemcy zatrzymali nas. Zaolziacy uczą mnie „*das operacion ist unszteni-dik*”. Odjeżdżamy. Ja cały czas powtarzam to swoje „*das operacion...*” Jedzie z nami żona Sekretarza, woźnica i ja, inni zostają. Wyjeżdżamy na drogę. Teraz rozumiem te nocne jazdy na motocyklach. Wzdłuż drogi ustawione są stanowiska karabinów maszynowych, skierowane w stronę Krasnobrodu, to jest tam, skąd przyjechaliśmy. Wzdłuż drogi rozciągnięte są druty telefoniczne. Na drodze kręcą się Niemcy w pełnym uzbrojeniu. Na skrzyżowaniu skręcamy na polną drogę do Zamościa, bo tędy o dwa kilometry bliżej niż szosą i tu chyba nie spotkamy Niemców. Te dziesięć kilometrów przejeżdżamy szybko. W Zamościu wstępuję do mieszkania lekarza powiatowego i dyrektora szpitala, prosząc, aby możliwie szybko udali się do szpitala, bo wieziemy Sekretarza na operację. W szpitalu wynoszą chorego.

Jest jeszcze wcześniej, bo dopiero ósma, namawiam więc woźnicę, aby wrócić do Lipska po pozostałych. Nie bardzo chce, ale w końcu ulega. Wracamy tą samą polną drogą.

W mieście nie widać ludzi ani Niemców.

W Lipsku zastajemy naszych kompanów z łopatami w rękę, chcieli zakopać walizki i iść pieszo do Zamościa. Bardzo ucieszyli się z naszego przyjazdu. Ładujemy wszystkie pakunki, siadamy na wierzchu i jedziemy. Ostrzegam ich jeszcze, aby nie zwracali uwagi na mijanych Niemców.

Przyjeżdżamy szczęśliwie do Zamościa i rozwozimy wszystkich do domów. Furmana puszczamy do domu. Dowiaduję się jeszcze, że już po operacji, i że została zrobiona w ostatniej chwili. Gdybyśmy przywieźli chorego godzinę później, mogłaby być gangrena. Można nareszcie iść do domu.

Po kilku dniach wrócił p. Biernawski z rodziną. Cały Krasnobród został spalony. Przez dwa dni musieli siedzieć w okopach, bo była wielka bitwa<sup>16</sup>. 13 września 1939 roku o godzinie 17-tej Niemcy weszli do Zamościa<sup>17</sup>.

Zaczęła się okupacja.

---

<sup>16</sup> Bitwa pod Krasnobrodem – stoczona w dniu 23 września 1939 r. Była to jedna z ostatnich bitew kawalerii w kampanii wrześniowej w czasie której Nowogródzka BK gen. Władysława Andersa uderzeniem 25 p.uł. od strony Suchowoli zdobyła miasto rozbijając sztab niemieckiej 8 DP i biorąc do niewoli około 100 jeńców. Zdobyto 20 samochodów. Pułk odbił około 40 oficerów i szeregowych – polskich jeńców zamkniętych w kościele. M. Głowacki, *op.cit.*, s. 165.

<sup>17</sup> Tuż po godzinie 17<sup>00</sup> żołnierze niemieccy z pistoletami i karabinami gotowymi do strzału dokonali rewizji w wikarówce kolegiackiej, a następnie zabrali wszystkich księży na plac przed ratuszem, gdzie byli już oficerowie i żołnierze polscy wzięci do niewoli oraz cywilni obywatele. Księża jednak zostali zwolnieni. Pozostałych zatrzymano. Ks. Franciszek Zawisza, *Wspomnienia z wojny i okupacji od 01.09.1939 do 19.06.1945*. Wstęp i opracowanie K. Radziejewski. „Archiwariusz Zamojski” 2003, s. 41.



## OSTATNIE DNI OKUPACJI

Ewakuacja biura zaczęła się już w lutym<sup>18</sup>. Plany, projekty spakowano do dużych skrzyń z napisami „*Technisches Hautamt – Zamość*” adres docelowy Tomaszów Mazowiecki. Od tego czasu objanie się oficjalne i jeszcze większe niż dotychczas.

Można urwać się z tym siedzeniem od 7-mej do 18-tej z godzinną przerwą na obiad. Ściągniętych do Zamościa architektów dawno już nie ma, zostałem sam. „*Urzęduję*” w pojedynkę w trzech pustych pokojach. Podrzemuję, oparłszy się o biurko. W końcu zabieram się do wykonywania rysunku rekonstrukcyjnego dawnego pałacu Zamojskich, według stanu po przebudowie w XVIII wieku.

Nie ma deski rysunkowej, biuro techniczne bez stołów kreślarskich. Karton przypinam po prostu do biurka i kreślę przyborami przyniesionymi z domu. Robota ciekawa i szybko postępuje naprzód. Ponieważ do moich trzech pokoi nie zagląda nikt, mogę spokojnie kreślić, a potem pomalować rysunek akwarelą. Jednak pewnego dnia wpada do mnie kierownik działu „*Bauwesen*”<sup>19</sup> Rhode – zastaje mnie przy ukończonym rysunku. W pierwszej chwili obawiam się, że będzie awantura, bo przecież zastał mnie przy nie urzędowej robocie, ale przecież żadnej urzędowej roboty nie ma. Pyta mnie, co to jest? Pokazuję mu przez okno widoczny pałac, obecnie „*Gericht*”<sup>20</sup> i wyjaśniam, że tak kiedyś wyglądał jak na rysunku. Powiada, że to ciekawe i wylatuje z pokoju, jak zwykle spieszący się, zaaferowany, zapracowany. Wiem, że to jego udawanie zapracowania, to zwykłe dekowanie się przed wojskiem.

Przez następne dni kończę spokojnie moją rekonstrukcję.

Zaczynają się nudy jak poprzednio. Pewnego dnia przynoszą mi projekt urządzenia siedzeń na balkonie w kinie w Zamościu. Rysunek jest szkicowy. Jak mi objaśniają, wykonał go jakiś żołnierz przejeżdżający na front. Już przyzwyczałem się mówić „*schlecht*”<sup>21</sup> na niemieckie pomysły, więc i teraz używam tego słowa. Powiadają, abym narysował to wejście na balkon tak, jak uważam, że powinno być wykonane. Nareszcie jest coś do roboty. Cieszę się i moi Niemcy, bo takie bezczynne siedzenie grozi im wojskiem. Dostaję inwentaryzację dawnego kościoła Franciszkanów, mieszczącego obecnie kino i zabieram się do roboty. Wejście na balkon można wykonać inaczej niż proponował ten żołnierz, prosto z poczekalni, ale trzeba przebić się przez filar, a mury w tym budynku są bardzo twarde. Nie zważając na takie trudności, obrysowuję projekt, przy okazji wykonuję projekt wyjść z kina na ul. Staszica. W

---

<sup>18</sup> 8 lutego 1944 r. starosta niemiecki odwołał zarządzenie przygotowawcze do ewakuacji instytucji. Donosił o tym wywiad AK opisując wnikliwie „*nastroje w Zamościu*”. K. Radziejewski, *Osiem nieznanych dokumentów z kancelarii Komendy Obwodu Zamość Armii Krajowej*, „Archiwariusz Zamojski” 2008, s. 85.

<sup>19</sup> *Bauwesen* - Dział Budownictwa

<sup>20</sup> *Gericht* - Sąd

<sup>21</sup> *schlecht* – kiepski, zły

dwa dni projekt jest obrysowany. Pozostaje jeszcze zaprojektowanie wzniesienia na rzędy krzesel na balkonie. Przedkładałam projekt w takim stanie jak obrysowałam. Z miejsca uzyskuje akceptację. Trzeba przystąpić do roboty.

Na moją uwagę, że ściany są bardzo twarde, machają ręką, dostane do dyspozycji świder pneumatyczny. Po tygodniu świder jest na miejscu, można przystąpić do roboty. Filar został przebity w dwa dni, a przed wojną bruzda na obniżenie przewodów dymowych o półtora metra, przebijana była przez trzy dni.

Przez ten czas projektem wzniesienia na krzesła na balkonie zajmuje się pracujący w „*Bauwesen*” Chorwat (jeśli chodzi o mieszkańca Chorwacji), folksdojcz. Jestem przerażony jego obliczeniami statystycznymi. Konstrukcja ma być drewniana, a przekroje drzewa dochodzą do wymiarów 50x70 cm. Na moje protesty oświadcza, że stali teraz nie dostaniemy i wszystko musi być wykonane z drewna. Wykonane przez niego zapotrzebowanie wysłano do tartaku i czekamy na dostawę. W maju (1944 r.) przychodzą zlecenia na organizowanie schronów przeciwlotniczych. 14 maja jadę do Chełma Lubelskiego, aby doradzić, jak zrobić schron w „*Kreishauptmannschaft*”. Pokazują mi tam piwnice, wydają dyspozycje, jak podstemplować stropy i wyjeżdżam do Zamościa. Na drugi dzień dowiaduję się, że w nocy był nalot samolotów radzieckich i schron już nie będzie potrzebny.

W takiej samej sprawie zostaje jeszcze wysłany do Hrubieszowa. Zmiana na stanowisku kierownika „*Bauwesen*”, Rhode do wojska, na jego miejsce Maurer. Tamten był nauczycielem rysunków w szkole budowlanej, ten jest elektromonterem, szuka tylko okazji do picia. Jednego dnia powiada, że jutro jedziemy do Biłgoraja. Rano, przed wyjazdem, ładuje pełną teczkę granatów, do kieszeni płaszcz duży pistolet. Do Biłgoraja jedzie się przez lasy zwierzynieckie, a tam partyzanci, można oberwać.

Maurer siada obok kierowcy, ja sam na tylnym siedzeniu. Do Zwierzyńca dojeżdżamy spokojnie. Najgorszy odcinek przed nami. Zakręt na Panasówce mijamy spokojnie, tu zawsze ostrzeliwane są niemieckie samochody. Przed Terespołem na szosie stoi grupa ze sześciu mężczyzn. Nachyleni ku sobie, jak gdyby obserwowali coś leżącego na środku szosy. Nasz kierowca daje sygnał, mimo, że do nich jest ze sto metrów. Nie ruszają się. Widzę, że Maurer sięga do teczki, którą cały czas trzymał na kolanach. Nie zwalniamy. Oni wciąż stoją. Jesteśmy blisko. W ostatniej chwili, tuż przed samym samochodem, rozstępują się na boki. Mijamy ich spokojnie. Do Biłgoraja zajechaliśmy już bez żadnych przygód.

Podjechaliśmy do Starostwa, mieszczącego się w nowym niewykończonym budynku. W czasie przejazdu przez miasto obejrzelśmy spalony przed kilkoma dniami drewniany budynek Wydziału Powiatowego. Maurer wysiadł z samochodu i powiedział nam, abyśmy podjechali na podwórze i czekali na niego. Czekamy na tym podwórzu godzinę, drugą, trzecią. Nareszcie wychodzi i zapowiada, że wyjedziemy przed zmrokiem. Trzeba coś zjeść. Wychodzę do miasta, na zmianę z kierowcą. Można dostać tylko herbatę i chleb. Czekamy dalej na Maurera. Już robi się szaro, a jego jeszcze nie ma. Posyłam kierowcę, aby dowiedział się, kiedy wyjedziemy. Po chwili wraca i powiada, że piją u Kreishauptmanna w domu i Maurer powiedział, że za chwilę jedziemy. Po dwu godzinach wychodzi Maurer zupełnie włany. Jest zupeł-

nie ciemno, gdy wyjeżdżamy. Do Zamościa wracamy już po godzinach policyjnych. Po co właściwie mi kazano jechać, nie wiem. To jedyne urozmaicenie w monotonnym siedzeniu po dziesięć godzin dziennie w biurze.

W czerwcu 1944 r. zaczynają Niemcy znikać z *Technisches Hauptamt* pojedynczo. Coraz ich mniej. Maurer tkwi dalej. Wszyscy, którzy zostali, łażą po biurze i niczego nie robią.

Dziesiątego lipca dostajemy nakazy ewakuacyjne do Tomaszowa Mazowieckiego. Formularze odbite na powielaczu, wypełnione odręcznie z powybijanymi chyba wszystkimi pieczętkami, jakie były w biurze. Taki papierek ma służyć i za bilet kolejowy. Ani myślę ruszać się z Zamościa. Prawdę powiedziawszy, mam pietra, bo na nakazie jest termin trzydniowy. W domu wszystko przewracałem. Książki poukładałem na podłodze, obrazy pozdejmowałem ze ścian i ustawiłem w kącie. Wszystko razem ma robić wrażenie, że pakuję się. Mało wychodzę z domu, aby nie zwracać na siebie uwagi. Mimo że mieszkam w Rynku, chodzę bocznymi uliczkami.

W mieście od kilku dni podniecenie. Niemieckie biura wyjeżdżają<sup>22</sup>. Sklepy są także ewakuowane. W ostatniej chwili kupuję w mleczarni dziesięć dużych serów tyłżyckich. Okazuje się, że wszyscy znajomi kupili po kilka takich samych serów, więc nie można im ilością dziesięciu sztuk zaimponować. Je się teraz ser z chlebem, a nie chleb ze serem.

Na ulicach widać coraz większy bałagan. Można zobaczyć ludzi niosących jakieś szafy, stoły, krzesła, biurka z opuszczonych biur i worki towarów ze sklepów już zamkniętych. Mówią, że gestapo już wyjechało i władzę obejmuje wojsko. Ruch na mieście coraz większy. Do późnego wieczora widać ludzi niosących jakieś graty. W domu, w którym mieszkam, omawiamy wypadki zachodzące z dnia na dzień. Z inż. B. umawiam się, że gdyby Niemcy weszli do naszego domu, ucieknijemy na dach i schowamy się za kominem. Idziemy na strych, oglądamy wejście na dach i ten komin, za który mamy, w razie potrzeby, schować się.

Nie przeczuwaliśmy, że może to przydać się tak szybko.

## 22 lipca – sobota <sup>23</sup>

Decyduję się pójść na obiad do p. Malinowskiej. Dzieleniem się wrażeniami nie ma końca. Nie wszyscy stołownicy przyszli na obiad, jest nas tylko kilkoro. Dla dodania sobie animuszu, zjawia się na stole butelka czystej z moczającymi się w niej badyłami piołunu. To modna piołunówka. Zaczynamy jeść zupę, gdy nagły huk, aż się dom zatrzęsł. Wylatują szyby w oknach. Okno od ulicy 3-Maja, którego nie można było nigdy otworzyć, jest otwarte na całą szerokość. W moim talerzu pływa kieliszek. Wszystko to obejmuję jednym rzutem oka. Momentalnie wszyscy rzucają się do drzwi i zbiegają z drugiego piętra do piwnicy. Na schodach właścicielka domu, Żmindowa<sup>24</sup>, lamentuje, że bomba

---

<sup>22</sup> 18 lipca 1944 r. wyjechała *Landrat*, *Ortskommenda*, *Arbeitsamt*. Uciekali „Czarni”. Pełno już było w Zamościu żołnierzy wojsk frontowych, zdemoralizowanych, grasujących po mieszkaniach, rabujących. Z. Wiktorowicz, *op. cit.*, s. 91.

<sup>23</sup> W oryginale „21 lipca – sobota”. Powinno być „22 lipca – sobota”.

<sup>24</sup> Kamienica w Rynku Wielkim 10, własność zegarmistrza Andrzeja Żmindy (1888-1942) oraz spadkobierców. Jego syn Stanisław (1922-1944), żołnierz AK („Konar”) zginął ściga-

trafiła w jej dom. Wszyscy pędzą po schodach. Stwierdzam, że trzymam w ręku talerz z zupą i pływającym w niej kieliszkiem. Stawiam talerz na schodach i pędzę za wszystkimi. Jeszcze jesteśmy na klatce schodowej, gdy następuje następny wybuch. W piwnicy są mieszkańcy z całego domu. Wszyscy mają coś do powiedzenia.

Wybuchy następują regularnie jedno po drugim. Nie wiemy, czy to bombardowanie, strzały armatnie, czy może wysadzenie budynków w powietrze. Po każdym wybuchu kamienica trzęsie się, tynk leci ze ścian. Tylko żeby ta ruintera, mająca 350 lat, nie wywaliła się nam na głowy. Piwnice są pełne ludzi. Siedzimy tam ze dwie godziny, gdy przychodzi ktoś i mówi, że Niemcy wysadzają tory kolejowe. Po krótkiej dyskusji decydujemy się wrócić do mieszkania i skończyć obiad.

Wracając na górę, pierwsze, co widzimy, to talerz stojący na schodach. W zupie ciągle pływa kieliszek. Wszyscy są zdziwieni, skąd się tu wziął. W kuchni wszystko zasypane sadzą. Podmuch wtłoczył z komina wszystką sadzę. Wybuchy powtarzają się, co kilka minut, ale są jakby bardziej odległe. Zamykamy pootwierane przez pierwszy wybuch okna i kończymy obiad.

Wracam do domu. U mnie szkody są mniejsze, wypadła tylko jedna szyba w oknie. W domu, w którym mieszkam, panika, wszyscy siedzą w piwnicy.

Zastanawiam się, co mam cennego w domu. Decyduję się na zabranie podręcznego, podróżnego, zabytkowego sekretarzyka, do którego chowam kilka drobiazgów, dokumenty osobiste. Schodzę do piwnicy. Wszyscy siedzą przy świeczce na tłumokach pościeli.

Przy wybuchach dom lekko drży. Powiadają, że trzeba będzie urządzić w piwnicy spanie. Znoszą materace, poduszki.

Nie odpowiada mi to labiedzące towarzystwo, wychodzę z mego kąta i idę pod dziesiąty, do Malinowskich, dowiedzieć się, co u nich. Przez Rynek jadą na zachód konne tabory wojskowe. Szwaby wieją<sup>25</sup>. U Malinowskich kilkoro stołowników. Mówią, że ratusz, kino i kilka innych obiektów jest zaminiowanych. To nie dobrze, bo ratusz jest od nas 50 metrów. Nadszaniec, u wylotu ul. 3-Maja, pali się od trzech dni. Nie mogę uświadomić sobie, kto i po co go podpalił. Straży pożarnej już nie ma, wyjechała. Nikt pożaru nie gasi. Ludzie nazywają ten nadszaniec „kawaler” – teraz mówią, że „stary kawaler” pali się<sup>26</sup>. Pod dziesiątym także mówią o spaniu w piwnicy. Zapraszam się na nocleg. Pomagam znosić sienniki, materace, poduszki, koce, do dużej piwnicy.

W pewnym momencie, do rytmicznych wybuchów wysadzania szyn, dołączają się wybuchy bomb. Wychodzimy na podcienia zobaczyć, co się dzieje. Przejeżdżający tabor w popłochu. Szwaby drą się, popędzają konie. Słychać motory przelatujących samolotów. Bomby wybuchają w stronach Lwowskiego i Lubelskiego Przedmieścia<sup>27</sup>. W przejeżdżającym taborze przerwa. Nadjeż-

---

ny przez gestapo – porażony prądem spadł z dachu tejże kamienicy. A. Kędziora, *Encyklopedia Ludzi... op. cit.*, s. 357-358.

<sup>25</sup> Z. Klukowski, *Zamojszczyzna 1944-1959*, Warszawa 2007, t. II, s. 72-73.

<sup>26</sup> Nadszaniec popularnie nazywany „kawalerem” z franc. „cavalier” został podpalony przez samoloty radzieckie. Z. Wiktorowicz, *op. cit.*, s. 92.

<sup>27</sup> W czasie bombardowania Zamościa w dniu 23 lipca 1944 r. zginęło kilkadziesiąt osób – w tym trójka dzieci pracownika „Snopu” Wiktora Kowalskiego. Samoloty radzieckie zrzucały małe bomby na przelotowe ulice miasta: Lwowską, Szczebrzeską i Żdanowską

dżają następni, konie ranne, wloką się. Wyprzęgają jednego konia, który zwala się na jezdnię. Odciągają go na chodnik. Teraz wianie nabiera tempa. Tory wysadzają już chyba za stacją, w stronę Zawady.

Słyszane wystrzały armatnie od wschodu są jak gdyby głośniejsze. Na Rynku ludzi bardzo mało, przechodzą podcieniami chyłkiem przy ścianach. Przygotowujemy się do spania w tej dusznej piwnicy. Nad tą piwnicą jest sklep z odzieżą. Małe, okratowane okienko wychodzi na ul. 3-Maja, tuż nad chodnikiem. Mówią, aby nie świecić i nie rozmawiać głośno, bo Niemcy rzucają do takich piwnic granaty. Nawet na papierosa trzeba wychodzić do innej piwnicy. Pod ścianą wewnętrzną rozłożone są materace i sienniki, kładziemy się spać pokotem. Z pierwszego snu budzi nas ruch koło okienka. Słychać niemieckie szwargotanie, potem wyłamywanie drzwi do sklepu nad nami. Chyba robią to łomem. W końcu dostają się do wnętrza, tupot buciorów – rabują.

O spaniu nie ma mowy.

### 23 lipca – niedziela

Chyba skończyli to wysadzanie torów, bo nie ma tych wybuchów. Tę noc spędziłem w domu, u siebie. Rano dają mi znać, żeby nie wychodzić z domu. Brama zaryglowana od wewnątrz. Obserwuję Rynek z okna. Nie widać nikogo. Tylko, co pewien czas żołnierze prowadzą grupę mężczyzn w stronę parku. Nie zbliżam się do okna, obserwuję z poza firanki. Mijają godziny. Jest już południe, gdy dobijają się do bramy naszego domu. Wałą chyba kolbami karabinów. Z dołu dają znać, że trzeba chować się. Uciekam na strych, gdzie jest już inż. B. Jest nas na strychu pięciu. My dwaj włączymy na dach sprytnie i lekko. Do komina od wjazdu są dwa metry. Kładziemy się za kominem. Ja jestem zwrócony w stronę Rynku, mój towarzysz w przeciwną stronę. Widzę na drugiej stronie rynku żołnierza zwróconego w naszą stronę. Mówię o tym kompanowi: „*Koło ogródka Lisowiczowej*<sup>28</sup> żołnierz patrzy na nas” – „*Proszę się nie ruszać*”. Jeszcze nie skończył mówić, gdy obok nas gwizd kuli, zaraz po tym drugi. Jednym susem jestem przy włączymy i skaczę na strych, zaraz za mną mój towarzysz. Przy tym samym skakaniu robimy niesamowity rumor. Strych jest otwarty dla klatki schodowej, dwoma łękami. Słychać, że Niemcy są już przy schodach na strych, dochodzą z dołu straszliwe lamenty kobiet. Ci trzej schowali się wysoko w ciemnych kątach więzby dachowej – klną nas teraz głośnym szeptem.

Orientuję się szybko, że są schowani na stropie nad klatką schodową. Wyłażę i wciskam się do nich błyskawicznie. Kładę się w kurzu grubości chyba kilku centymetrów. Mój kompan zza komina znikł gdzieś w więźbie dachowej. Szwargotanie niemieckie słychać tuż pod samym strychem. Kobiety płaczącymi głosami tłumaczą im coś. Wstrzymujemy oddech. Na pewno słyszeli rumor naszej rejterady zza komina, ale na strych nie wchodzi. Głosy ich cichną, schodzą. Po chwili kobiety dają nam znać, że wyszli z budynku. Jednak zosta-

---

siekąc z karabinów maszynowych przejeżdżające w popłochu zbłąkane oddziały niemieckie. B. Waluda, *op.cit.*, s. 82, Z. Wiktorowicz, *op.cit.*, s. 92, Z. Klukowski, *op.cit.*, s. 76.

<sup>28</sup> Popularna restauracja „*Pod Ratuszem*” Emilii Lisowiczowej z ogródkiem przy ul. Grodzkiej 16. Po wojnie E. Lisowiczowa prowadziła znaną „*Kuchnię Domową*”. A. Kędziora, *Encyklopedia Miasta Zamościa*, Chełm 2000, s. 112-113.

jemy na swoich miejscach, bo przez cienką ściankę słysząc, że są w sąsiednim domu.

Przez szpary w murze widać ich na klatce schodowej. Są jak zwykle wrzaskliwi. Łażą od mieszkania do mieszkania, klną. W końcu wychodzą i z tego budynku. Schodzimy z naszej kryjówki pojedynczo, po zapewnieniu nas, że brama jest ponownie zaryglowana. Przeszło, a mogło być gorąco, bo na stryszku nad oficyną jest dwu żołnierzy radzieckich z krótkofalówką.

Do nocy siedzimy wszyscy jak mysz pod miotłą. Noc mija spokojnie. Na drugi dzień, jakby nigdy nic, ruch na mieście, jednak ludzie chodzą chyłkiem, pod ścianami domów. Zasięgamy języka. Była to łapanka mężczyzn do kopania rowów. Nabrano dużo, gromadzono ich w gmachu dawnej Akademii, potem popędzono na Nowe Miasto.

### 24 lipca – poniedziałek

Tabory już nie jadą. Skończyły się wybuchy wysadzania szyn. Po śniadaniu wychodzimy śmiało na podcienia. Około godziny 9-tej słysząc strzały karabinowe – trudno zorientować się, z której strony. W pewnym momencie na trawniku, na środku Rynku widać kilku żołnierzy przy okopanym działku. Skąd się tu wzięli? Przecież to żołnierze radzieccy<sup>29</sup>. Nim można podzielić się wiadomością z innymi stojącymi obok, już znikli. Na wieży ratuszowej biało-czerwona chorągiew, ale jaka? Chyba kilkanaście metrów długa<sup>30</sup>. Od strony stacji kolejowej słysząc strzały. Ludzie wypadają z domów. Robi się rojno na podcieniach. Nie mija pięć minut, gdy na Rynek wjeżdża samochód polowy. Zatrzymuję się koło nas, jesteśmy najbliższą gromadą ludzi. Wychodzi oficer, mówią, że pułkownik, a on do ludzi: „*wot czto graždiany*”. Niewiadomo skąd biorą się naręcza kwiatów. Proszą pułkownika na przyjęcie do domu. Jest jowialny, dobroduszny i jakiś koleżeński. Idzie na to przyjęcie.

Biegnę do mego przyjaciela inż. C. To za najbliższą przecznicą. Do mieszkania wpadam jak bomba. Mówię jego żonie, że Niemców już nie ma. Nic nie mówi, tylko prowadzi mnie do piwnicy. Jest schowany pod kupą kamieni. Odrzucamy kamienie i takiego wytyłanego ciągnę na Rynek. Gdy zobaczył chorągiew na Ratuszu, rzucił mi się w ramiona i rozplakał jak małe dziecko. Przyszła upragniona wolność.

---

<sup>29</sup> We wtorek 25 lipca 1944 r. jednostki Armii Czerwonej zajęły Zamość. Z. Wiktorowicz, *op.cit.*, s. 92.

<sup>30</sup> We wtorek 25 lipca 1944 r. około godziny 11.00 Antoni Wiącek („Janusz Sandomierski”) jako delegat rządu polskiego i starosta zamojski opublikował pierwszą odezwę, zawiadamiając w niej społeczeństwo powiatu zamojskiego o objęciu władzy w imieniu Rządu Polskiego. Jednocześnie polecił pracownikowi RGO Stanisławowi Michalskiemu (w okresie powojennym znany zamojski adwokat) wywieszenie na wieży ratuszowej sztandaru polskiego. Sztandar ten ktoś zdjął z masztu, ale szybko znalazł się drugi, który również zawiesił S. Michalski. A. Wiącek „Janusz Sandomierski”, *Dziennik Czynności Delegatury Powiatowej Rządu Polskiego w Zamościu*, „Archiwariusz Zamojski” 2002, s. 25-26, K. Czubara, *Ze spuścizny Hipolita Koziola. Nieznane źródło do dziejów historii najnowszej Zamościa*, „Archiwariusz Zamojski” 2002, s. 18.